



Młodzieżowa
Agencja
Wydawnicza

RSW
„Prasa-Książka-Ruch”

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

O D R A
50-010 WROCLAW, Podwale 64

Nr 12 z dn. 12-12-88

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI

OSIEMDZIESIĄT LAT MUZYKI W DZIESIĘĆ DNI • PRZEBOJE „WARSZAWSKIEJ JESIEŃ” • LUTOSŁAWSKI I ZIMERMAN SENSACJĄ NUMER JEDEN • ZIMERMAN — FENOMEN KLAWIATURY • NOWY PREZES SPAM-U TADEUSZ STRUGAŁA PRZEKAZUJE „ORFEUSZE” • DWIE „CZARNE MASKI”, KAŻDA INNA! • FILOZOFICZNO-PSYCHOLOGICZNA „CZARNA MASKA” Z POZNANIA • KATASTROFICZNA „CZARNA MASKA” W WARSZAWSKIM TEATRZE WIELKIM • WROCŁAWSKIE „NOWE WYZWOLENIE” TEŻ ZROBIŁO WRAŻENIE • LWOWSKIE WZRUSZENIA Z „KALAMBUREM” • WROCŁAWSKA LAUREATKA:

Mój drogi!

Chciałbym Ci dzisiaj napisać o dwóch wydarzeniach z ostatnich tygodni: — o „Jesieni Warszawskiej” i o wyjeździe do Lwowa zespołu Teatru Kalambur z programem lwowskich piosenek.

Zacznijmy od Warszawy:

Tegoroczny — już trzydziesty pierwszy — Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej w Warszawie był chyba jedną z najciekawszych „Warszawskich Jesieni” w ostatnich latach. Komisja repertuarowa, której w tym roku przewodniczył Olgierd Pisarenko, skonstruowała różnobarwny program-mozaikę, w którym znalazło się sporo interesujących nowości w bardzo dobrym wykonaniu, wiele dzieł już klasycznych, przypominających nam, jaką drogę przebyła muzyka w ubiegłych pięćdziesięciu, ba, siedemdziesięciu latach — („Orchestral Set. No. 2” Charlesa Ivesa z lat 1909—1915. „Les Heures Persanes” Charlesa Koechlina z lat 1913—1919), kilkanaście dzieł niezwykle atrakcyjnych, umiejętnie rozłożonych w programie, tak, iż każdego dnia mieliśmy jakąś kulminację, która na długo pozostaje w pamięci, wieczory poświęcone w całości twórczości „wielkich”: — Pierre Bouleza, György Ligetiego, Luigi Nono, wreszcie wspaniały koncert Witolda Lutosławskiego, dwie inscenizacje „Czarnej Maski” Krzysztofa Pendereckiego...

Zacznę od końca — od finałowego koncertu, w którym orkiestra Filharmonii Narodowej i Krystian Zimerman wykonali pod batutą Witolda Lutosławskiego jego Koncert Fortepianowy oraz III symfonię. Dawno nie pamiętam takiego zainteresowania koncertem współczesnej muzyki! Już na długo przed inauguracją tegorocznej „Warszawskiej Jesieni” mówiło się o sensacyjnym przyjęciu Koncertu Fortepianowego na Festiwalu w Salzburgu, o walorach tego dzieła i fenomenalnym wykonaniu przez Krystiana Zimmermana. Biletów na ten wieczór zabrakło już w kilka godzin po otwarciu

kas festiwalowych, młodzież (i nie tylko) wypełniła wszystkie zakamarki nadające się na miejsca stojące w sali Filharmonii Narodowej, wszystkie miejsca „siedzące” na... podłodze w przejściach między rzędami foteli... Zimerman po tylu latach w Polsce w nowym dziele Witolda Lutosławskiego, dedykowanym temu znakomitemu pianiście!

Lutosławski — sam przecież pianista — od przeszło 40 lat, bodajże od „Wariacji na temat Paganiniego” — nie zajmował się muzyką fortepianową. Wreszcie wrócił do swego instrumentu, tworząc dzieło niesłychanie pianistyczne, wirtuozowskie, a zarazem jakże piękne i szlachetne w wyrazie, pełne twórczych pomysłów, trzymające słuchacza w pełnym radosnego uniesienia napięciu. Zimerman, opracowując wykonanie partii fortepianowej, wielokrotnie konsultował się z kompozytorem i powstało wykonanie niezwykle spójne, nierozdzielna całość: dyrygent-pianista-orkiestra, podległa jednej myśli twórczej. Późnym wieczorem, na spotkaniu kończącym tradycyjnie „Warszawską Jesień” w foyer Filharmonii Narodowej — jako przewodniczący jury „Orfeusza”, nagrody krytyków i publicystów muzycznych Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków za wybitne wykonanie polskiego dzieła mogłem ogłosić, że w tym roku przyznaliśmy dwie nagrody „Orfeusza”: — Zimmermanowi i Lutosławskiemu! Piękne statuetki dłuta wrocławskiego rzeźbiarza Jacka Dworskiego wręczył laureatom nowy prezes Zarządu Głównego SPAM-u, Tadeusz Strugała.

„Czarna Maski”! Nie wiem, czy zdarzyło się na jakimkolwiek festiwalu w świecie, aby w programie festiwalowym wykonano jedno wielkie dzieło operowe w dwóch inscenizacjach? Ujrzeliśmy „Czarną Maskę” z Teatru Wielkiego w Poznaniu — w oryginalnej wersji niemieckiej i Teatru Wielkiego w Warszawie po polsku, w tłumaczeniu Antoniego Libery i Janusza Szpotańskiego. Dwie zupełnie

różne inscenizacje, dwie różne interpretacje muzyki, różne traktowanie materiału dramatycznego przez reżyserów obu spektakli... Każde mówiło o czym innym. Zobaczenie obu spektakli w odstępie kilkudziesięciu godzin, porównanie koncepcji muzycznych i inscenizacyjnych, pozwoliło przekonać się, jak niezwykle bogatym w treści muzyczne, dramatyczne i filozoficzne jest to dzieło Krzysztofa Pendereckiego. Realizatorzy, przystosowując inscenizację do warunków teatru poznańskiego, skameralizowali operę Pendereckiego, Mieczysław Dondajewski, stosując stosunkowo niewielki aparat orkiestralny, wydobyl liryczne subtelności, stopniując napięcie aż do końcowego dramatycznego „tańca śmierci”, ukazując przy tym finezyjną rolę poszczególnych grup instrumentów. Ryszard Peryt, mając w zespole tak znakomitą śpiewaczkę i aktorkę jak Ewa Werka, stworzył psychologiczny dramat, w którym cała akcja konsekwentnie rozwija się, związana z przeżyciami i tokiem myśli zaplątanej w niesamowite koleje losu kobiety.

W warszawskim Teatrze Wielkim „Czarna Maski” to wielkie widowisko, w którym belgijski inscenizator, Albert André Lheureux, wraz ze scenografem Andrzejem Majewskim wykorzystali możliwości techniczne kolosalnej sceny. Od pierwszych taktów muzyki, od pierwszego spojrzenia na scenę jesteśmy w kręgu tańca śmierci, koszmaru, który narastając musi doprowadzić do ogólnej katastrofy, do powszechnej zagłady. To klimat dramatu Hauptmanowskiego z ostatniego okresu twórczości wielkiego pisarza niemieckiego, na którego dziele oparł Penderecki z Harrym Kupferem libretto swej opery. Robert Satanowski prowadził muzykę, wydobywając dramatyczne kontrasty, nagłe kulminacje, epizody przerażające zgrzytliwymi dysonansami. Muzyka otacza słuchaczy, orkiestra i chóry rozlokowane wokół widowni osaczają dźwiękiem słuchaczy. Reżyser i scenograf ukazują świat zrodzony w nieszczęsnym, zmałowanym przerażeniem umyśle bohaterki (Elżbieta Hoff), zapędzonej przez prześladowcę ją, zniechodzonego, ale ciągle jeszcze pożądanego kochanka. Nieszczęśliwa nie ma siły, aby przeciwstawić się przekleństwu podwójnego życia, bezsilna żyje w świecie koszmaru, imaginacji i ten świat jej zmałowanego umysłu ukazują inscenizatorzy.

Komnata, w której rozgrywa się dramat zmienia kształty, wypacza się w przerażające zaułki, zamienia w pustkowia zawirowane śnieżyca, w przepastne czeluście, skąd wypętlają poczarwane kształty zjaw — obrazy wizji szalonego umysłu. Przerażające zjawy, morderstwa, oszukańcza gra współbiesiadników w tym korowodzie śmierci, czarna zaraza, taniec potwornych bezkształtnych cieni — to wszy-

stko projekcja myśli zmałowanej szaleństwem, prowadząca do nieuniknionego końca: zniszczenia świata w tańcu śmierci.

Nikt nie zostanie żywym w tym karnawale zniszczenia i tylko psy wydobywają trupy z ruin nieszczęsnego miasteczka, zdruzgotanego w wirze śmiertelnej agonii. Zostaje żywym jedynie Żyd Wieczny Tułacz, pośrednik między złem i dobrem, bezsilny posłannik świata, którego nie potrafi uratować (Jerzy Artysz).

Spektakl kolosalny — przez jednych wychwalany jako niesłychanie ciekawe odczytanie zamysłu twórcy, przez innych odsądzany od czci i wiary — jako nie mająca wiele wspólnego z dziełem ilustracja Apokalipsy... W każdym razie spektakl, o którym będzie się długo i z emocją rozprawiać.

Gdy mówimy już o spektaklach operowych tegorocznej „Warszawskiej Jesieni”, nie sposób ominąć sukcesu wrocławskiego kameralnego przedstawienia „Nowego Wyzwolenia” Krzysztofa Baculewskiego według sztuki Witkacego, w reżyserii Jerzego Bielunasa, pod muzycznym kierownictwem Mieczysława Gawrońskiego, z kapitałną Olgą Sz wajgier i Piotrem Kusiewiczem, spektaklu uznanego za jedno z najlepszych operowych wcieleni sztuki Witkacego (wrocławskie „Nowe Wyzwolenie” pojechało na festiwal do Sofii — jestem przekonany, że wróci „z tarczą”), a także o zainteresowaniu wystawionym jako impreza towarzysząca dramacie muzycznym Joanny Brzdowicz „Bramy Raju” według opowiadania Jerzego Andrzejewskiego, w inscenizacji Marka Grzesińskiego, pod muzycznym kierownictwem Agnieszki Kreiner...

Jaki wniosek po wysłuchaniu 123 utworów 106 kompozytorów z całego świata na 26 koncertach, 7 spektaklach operowych? Komisja repertuarowa tak ułożyła program, że widoczne było „taniec” owego „morza lodowego” między twórcami i odbiorcami nowej muzyki. Tłumnie chodzono na koncerty, w których występowali wybitni wykonawcy... Bez znakomitego wykonania współczesna muzyka nikt nie interesuje... a tych świetnych wykonawców, znakomitych zespołów, solistów, dyrygentów było tego roku w Warszawie wielu.



A teraz kilka wrażeń z podróży do Lwowa z programem lwowskich piosenek ulicznych w wykonaniu zespołu z „Kalamburu”, w reżyserii Haliny Dzieduszyckiej i muzycznym opracowaniu Bogusława Klimsy.

„A kto z nami trzyma ształy?” — wszyscy! Cały Lwów! Nie tylko Polacy ze Lwowa, którzy wiwatowali, płakali, śpiewali, tańczyli z aktorami „Kalamburu”, ale też mieszana publiczność polsko-ukraińska w ekskluzywnym lokalu

na Rynku „Pod Lwem” i w Klubie Aktora w dawnym pałacu Skarbka bawiła się z kalam-burowcami, oklaskiwała frenetycznie stare piosenki, jak się okazuje, do dziś powszechnie śpiewane we Lwowie.

O wzruszających spotkaniach z lwowiakami, z zabytkami lwowskimi, załkami, które wydo-bywałem z pamięci po pięćdziesięciu latach nieobecności we Lwowie, ze wspomnieniami i zaskakującymi odkryciami zasłyszanych w o-powieściach piękności tego niesłuchanie blis-kiego nam miasta, opowiemy osobno z moją córką Małgorzatą.

„Nima jak Lwów!” — jak w starej piosence. Przeżyliśmy te piękne chwile dzięki polskiemu konsulowi we Lwowie, Włodzimierzowi Wosko-wskiemu, który mądrze wykorzystując obecną sytuację polityczną, stara się pomóc Polakom mieszkającym we Lwowie, dać im kulturalną rozrywkę polską, służyć też materialną pomocą. „Kalambur” był pierwszym zespołem polskim goszczącym od prawie pół wieku we Lwowie. Pięć występów przy nad-nad-nadkompletach, uwieńczonych ogromnym sukcesem, nie tylko artystycznym. Jak powiedział konsul Woskow-ski (który w sposób zupełnie niespotykany o-piekował się nami przez cały czas pobytu we Lwowie, od granicy w Medyce, dokąd wyje-chał na powitanie „Kalamburu”, aż do wzrusza-jącego pożegnania na granicy miasta) „Kalam-bur” zrobił dobrą robotę integracyjną, był po prostu potrzebny we Lwowie na tym historycz-nym zakręcie dziejów.

Ja przeżyłem wiele wzruszeń, błędząc po ulicach pełnych wspomnień, w Teatrze Wiel-kim, jakże pięknie odrestaurowanym, gdzie przed 50 laty śpiewałem. Wyobraź sobie, po-znał mnie stary chórmistrz, a po przedstawie-niu „Rigoletta” (nb. bardzo interesującym, z pięknymi głosami), kiedy już wychodziłem z wi-downi, chwycił mnie w objęcia jakiś starszy pan: Nie pamiętasz? Śpiewaliśmy tu przed pół wiekiem w „Onieginie”!... Nie poznałem! Michał Popiel! ... Mój Boże! Przyjacieli, świet-

ny śpiewak, kochany kolega! Pierwszy dyry-gent teatru, kierownik artystyczny opery, lu-dowy artysta USSR, Igor Lácánis, kazał spec-jalnie dla nas opuścić w przerwie spektaklu słynną kurtynę Siemiradzkiego. Wzruszające to wyróżnienie, gdyż „Siemiradzkiego” opusz-cza się jedynie w czasie galowych spektakli z jakichś szczególnych okazji.

Wzruszające zaskoczenie przeżyłem też w czasie zwiedzania wystawy „Stary i nowy Lwów” w Kamienicy Sobieskiego na Rynku. Wśród licznych fotografii oglądanych w stereo-skopie zobaczyłem trybunę słynnego Toru Wyścigów Konnych we Lwowie, a na pierwszym planie... mój ojciec, Władysław, z przyjaciółmi, również znanymi hodowcami koni arabskich. Obiecano mi zrobić odbitkę z tej fotografii i przysłać do Wrocławia...

O wielu niespodziankach, jakie czekały na nas we Lwowie, o wzruszających rozmowach, wizycie na cmentarzu Łyczakowskim, porząd-kowanym ochotniczo przez pracującą pod Lwowem załogę „Energoopolu”, w którego bazie mieszkaliśmy przez cały czas naszego pobytu, otoczeni troskliwą opieką dyrektora inż. Józefa Bobrowskiego, o odwiedzinach w szkole z polskim językiem nauczania i w Pol-skim Teatrze Ludowym — opowiemy z Mał-gorzatą następnym razem, gdy trochę ochłó-niemy z lwowskich wzruszeń, a tymczasem

Cip-cip-ta-joj!

Twój Wojciech Dzieduszycki

PS. Rozpisałem się o Warszawie i Lwowie, a muszę jeszcze donieść, że Monika Cichocka, dyplomantka wrocławskiej Akademii Muzycz-nej z klasy Danuty Paziukówny zdobyła pierw-sze miejsce i główną nagrodę na słynnym i bar-dzo trudnym Międzynarodowym Konkursie Wokalnym w Tuluzie, w którym wzięło udział ponad 100 młodych śpiewaków z całego świa-ta. Laury na tym konkursie to już otwarte drzwi na wielkie sceny.

W.D.